

Kozakowski Andrzej

Robaki na zgliszczach

Z „Science Fiction” nr 17 – sierpień 2002

- Goniec na F6, szach i mat - powiedział Pouk, przewracając wrogiego króla i uśmiechnął się szeroko, pokazując dokładnie, że nie pozostał mu już ani jeden cały ząb.

- Dziadek jak zwykle w formie - odrzekł, kręcąc z niedowierzaniem głową, Houp i zaczął wkładać do skórzanej sakiewki różnokolorowe kamienie. Na koniec zwinął wy: prawioną skórę z niewyraźnie wyrysowaną szachownicą, związał ją rzemykiem i przywiązał do sakiewki z kamieniami. Jego ruchy były powolne, ostrożne i dokładne. Cały czas przy tym obserwował roześmianą twarz dziadka.

- Dziadku... - zaczął, gdy podawał starszemu pionki.

- Wiem, myślisz o jutrzejszej inicjacji. - Twarz Pouka spoważniała.

- Tak, o inicjacji, ale nie o to chodzi. Nie chcę być wojownikiem. - Jego głos zadrżał. Houp cicho odchrząknął i kontynuował: - Jest przecież tylu lepszych wojowników. Ramzimi i Thuzimi na przykład. Wiesz, że nigdy nie będę nawet w połowie tak dobry jak oni. Chciałbym być zwiadowcą na anderze, tak jak ty. - Przez dłuższą chwilę dziadek i wnuk patrzyli sobie w oczy.

- To były zupełnie inne czasy. - Pouk mówił cicho i powoli, w jego głosie czuć było cień smutku. - Teraz nie potrzeba nam już tylu anderów. Może za kilka pokoleń przestaną być potrzebne komukolwiek.

- Przecież dziadek wie, że tak się nigdy nie stanie. Będą tacy ludzie jak ja. Nie pozwolimy, by ktoś zapomniał o tym wszystkim, czym dla nas byli i są. Przecież gdyby nie one, wszyscy by umarli i nie byłoby nas tutaj.

- Tak, Houp, to prawda. Anderzy są potrzebne tam, gdzie trzeba się ukryć pod ziemię i schować przed promieniowaniem. Tak było za moich czasów i jeszcze za czasów twojej matki. Teraz jest inaczej. A niedługo cały świat zmieni się jeszcze bardziej. Taka jest kolej rzeczy.

- Czasami myślę, że mój ojciec umarł niepotrzebnie. Że lepiej by było, gdyby nie połączono nigdy obu Edenów.

Przestań! - W oczach Pouka zapaliły się iskry. - Twój ojciec był dobrym i mocnym człowiekiem. Gdybym tak nie myślał, nie pozwoliłbym mu ożenić się z moją Lenną. Wtedy wszystko wyglądało inaczej niż teraz. Ojciec Sentence nakazał, by wydobyć spod Szklą tamte przedmioty i przekopać anderami tunel między Edenami. Gdybyśmy wtedy tego nie zrobili, nie grałbyś ze mną dziś w szachy, tylko szedł gdzieś pod ziemię poszerzać granice i cieszył się z każdej chwili, kiedy możesz wyjść i zobaczyć księżyc i gwiazdy. O ile zostałbyś zwiadowcą, a nie glebiarzem, bo wtedy gwiazd mógłbyś nie oglądać nigdy!

- Przepraszam, dziadku. Znam naszą historię. Wiem też, że wtedy nie było jeszcze nadludzi! - W głosie Houpa pojawiła się nienawiść.

- Więc, o to ci chodzi? Boisz się ich odmienności? Że mogą chodzić po powierzchni nawet w słońcu? Tego się boisz? A może zazdrościsz im wyglądu? Czy może tego, że gdybyśmy nie połączyli ze sobą Edenów, to by ich nie było i nie musiałbyś udowadniać, że jesteś przynajmniej tak dobry jak oni?

Wzburzony Houp zaczął wstawać, lecz Pouk mocno przytrzymał go jedną ręką.

- Siadaj, jeszcze nie skończyłem z tobą rozmawiać! Siadaj i słuchaj, co do ciebie mówię!

Houp rozejrzał się nerwowo, lecz ich kłótnia nie ściągnęła w pobliże jeszcze nikogo ciekawskiego.

- Jutro są twoje piętnaste urodziny. Pamiętasz, jak miałeś dwanaście lat i chciałeś przejść się anderem? Pamiętasz, jak poprosiłem naszych, by zabrali cię w krótką trasę?

- Pamiętam.

- To dobrze. - Głos Pouka uspokoił się nieco. - A pamiętasz, jak się tam wtedy czułeś? Obcy wśród nich wszystkich. Pamiętasz, jak pierwszy raz wymiotowałeś po transfuzji, a inni śmiali się z ciebie za plecami. Jak było ci wstyd, tylko dlatego, że jesteś nowy i nie wiesz, jak się zachować? Było ci wtedy przyjemnie?

- Nie, dziadku.

- Ramzimi i Thuzimi pewnie czują się tak przez cały czas. Oni są teraz nowi, a ty stoisz po drugiej stronie, wśród tych, którzy im zazdroszczą po cichu, a śmieją się z nich głośno. Tylko dlatego, że są inni, że dziwnie wyglądają i że słabiej widzą w nocy. Ja też jestem inny, ale nikt z mojego kalectwa nie naśmiewa się, bo wszyscy mnie tu znają i szanują. Spróbuj tak na to spojrzeć.

- Przepraszam - powiedział Houp. - Chyba już rozumiem.
- Oby tak właśnie było. Idź już teraz, najedz się i wyśpij. Jeszcze jedno - dodał Pouk, gdy jego wnuk wstał - masz i ucz się grać. - Podał mu szachy. - Teraz myślenie liczy się bardziej niż siła i zręczność. Nawet niż widzenie w nocy i ładny wygląd. Zawsze o tym pamiętaj.
- Będę pamiętał, dziadku - powiedział Houp i odszedł ze spuszczoną głową.
- I o gwiazdach... - powiedział już sam do siebie Pouk, wpatrując się w czyste, nocne niebo. - Zawsze pamiętaj o gwiazdach. One są piękne.

* * *

- Przywieźliście próbki? - Głos Ojca Sentence był jak zwykle spokojny i opanowany.
- Tak, Ojcie. Wielu zginęło, by to zdobyć - odrzekł Zap i ostrożnie wyjął z solidnej, skórzanej torby, owinięty w materiał, nieforemny słoć, wykonany z grubego, ciemnobrunatnego szkła. Wszyscy obecni odruchowo zrobili krok w tył.
- Pokaż mi próbkę z bliska, Zap. Zanurz w niej próbnik i wsuń do pojemnika oznaczonego symbolem „Bio-Probe B”.
Zap postawił słoć na posadzce i ostrożnie odetkał wylot. W nozdrza zgromadzonych uderzył kwaśno-cierpki zapach. Zwiadowca podniósł z metalowego stołu cienki, szklany pręcik i zanurzył go w gęstej mazi, siwo-zielonego koloru. Słoć zatrzęsł się samoistnie. Zap nie upuścił jednak próbnika tylko dzięki swemu opanowaniu oraz wcześniejszym kontaktom z tą substancją, ale jego czoło wyraźnie się zmarszczyło, gdy usiłował wyjąć szklaną pałeczkę. W końcu mu się udało. Zamknął słoć i wsunął próbnik pokryty minimalną ilością substancji do pojemnika analizującego. Dopiero wtedy otarł pot z czoła, odwrócił się i spojrzał na twarze obecnych tu ludzi. Ci, którzy widzieli maż po raz pierwszy, stali z pootwieranymi ustami, mocno wciśnięci plecami we wnęki pomieszczenia.
- Odejdźcie teraz - odezwał się Ojciec Sentence. - Muszę to dokładnie obejrzeć i porozmawiać z Matką Sapharon.
Prerażeni ludzie wyszli. Zap owinał materiałem słoć, delikatnie włożył go do torby i wycofał się ostatni. Wskazując palec prawej ręki, który przypadkowo zetknął się z obcą substancją podczas szamotaniny, zaczynał go piec coraz mocniej.
- Przetrywamy - powiedział na głos Ojciec Sentence, gdy wszyscy już wyszli. - Musimy przetrwać. Właśnie tak - przetrwać.

* * *

- Siadaj Houp - zaczął Pouk. Wyraźnie było widać, że ostatniej nocy nie spał zbyt wiele. - Siadaj i słuchaj uważnie, co ci powiem.
Houp posłusznie usiadł. Zdawał sobie sprawę, że dzieje się coś bardzo ważnego, choć nie wiedział dokładnie co.
- Zauważyłeś już pewnie, że od kilku tygodni wszyscy chodzą podenerwowani - kontynuował Pouk. - Słyszałeś też już, że straciliśmy Jaskinie Północne i zginęło wielu ludzi. - Dziadek przełknął ślinę.
- To przez tę maż, którą przywiózł Zap, prawda?
Tak, to przez tę maż. Przez ostatni tydzień cała starszyzna obu Edenów dyskutowała i radziła wraz z Ojcem Sentence i Matką Sapharon, co robić. Matka Sapharon wytłumaczyła nam, czym jest ta maż i skąd się wzięła. I uwierz mi, jest się czego bać.
- Dziadku, to naprawdę jest aż tak niebezpieczne, jak mówią? - Głos Houpa był lekko niedowierzający. - Czy tylko chcecie przekonać ludzi do jakichś nowych zmian, tak jak do tego, by kobiety rodziły nadludzi?
- Houp... - Pouk na dłuższą chwilę zamilkł, na przemian to kiwając, to kręcąc głową. - Houp, mój wnuku. Widziałeś andery, wiesz jakie są duże. Nie wiem, czy rozmawiałeś z Zapem, czy tylko nasłuchałeś się plotek. Cidy Zap i inni natknęli się na tę substancję, zanim zdążyli zatrzymać się, ugrzęzły w niej dwa andery. Zostały wchłonięte i strawione przez tę maż w ciągu kilkunastu zaledwie minut. Zginęli też wszyscy, którzy nimi szli.
- Ta maż zjadła dwa andery w parę minut? Nie mogę w to uwierzyć. To jaka ona jest duża?
- Jutro o zmierzchu starszyzna i tak opowie o wszystkim, więc mogę ci zdradzić to dziś, bo ci ufam. - Ostatnie słowa Pouk wypowiedział dużo wolniej. - Ta substancja pokrywa ponad ćwierć kontynentu i cały

czas się rozrasta. Mieliśmy szczęście, że pomiędzy nią, a nami znajdują się wysokie góry. To ją spowolniło. Ale jednocześnie dowiedzieliśmy się o niej dużo później, niż powinniśmy. Możliwe, że za późno."

- Ćwierć kontynentu. Przecież to nie możliwe. Nie może istnieć...

- ... a jednak istnieje. Powiem ci, czego dowiedziałem się od Matki Sapharon. Otóż, przed wiekami ludzie władali całą planetą. Nie było wtedy jeszcze ani anderów, ani rachnyterów. W dzień można było chodzić po powierzchni i cieszyć się setkami, tysiącami różnych roślin i zwierząt. Ludzie żyli wtedy w ogromnych miastach. W każdym z nich mieszkało dwa, pięć, albo dwadzieścia milionów naszych przodków.

- Miasto na powierzchni, a w nim dwadzieścia milionów ludzi? Dwadzieścia tysięcy tysięcy ludzi w jednym miejscu? To bajki dla małych dzieci. Szkolne opowiadki do nauki liczenia.

- Tak właśnie było, Pouk. Proszę, słuchaj uważnie...

- Dziadku, jak można wierzyć w takie bajki?

- Houp, czy kiedykolwiek cię okłamałem? Pomyśl dobrze i zastanów się. Jeśli nie mnie możesz wierzyć, to komu?

- Przepraszam, dziadku, już nic więcej nie powiem.

- Co to ja mówiłem? A, tak, już wiem. Ludzie żyli wtedy w ogromnych miastach na powierzchni, a nawet latali na księżyc. - Houp chciał kolejny raz przerwać, lecz Pouk spojrział na niego z taką powagą, że chłopiec zmienił zamiar i zastygł z na wpół otwartymi ustami. Dziadek kontynuował: - Wydawać by się mogło, że musieli być szczęśliwi. Niestety, nie było to prawdą. Zawsze toczyli między sobą wojny. O ziemię, o surowce, o przekonanie, że jedni z nich są lepsi niż inni. - Pouk zawiesił na chwilę głos, patrząc, czy jego wnuk zrozumie aluzję. Nic na to jednak nie wskazywało. - Tak się właśnie zaczęło, bo ludzie wymyślali coraz lepszą broń, aż stworzyli tak potężną, że mogła zniszczyć całą planetę. Wtedy część z nich albo opamiętała się, albo zaczęła bać i rozpoczęto budowę Edenów. Tak, Houp, nasze Edeny są właśnie schronami, wybudowanymi, by wytrzymać każdy atak i by później ludzie mogli w nich przeżyć nawet kilkadziesiąt lat. Prerażające jest to, że Edeny jednocześnie służyły do przechowywania i do używania tej straszliwej broni. Takie to były wtedy czasy. Dobre i bardzo złe zarazem.

- A nasz Ojciec?

- Nasz Ojciec Sentenance powiedział nam, że to ludzie go zbudowali. Tak jak i Matkę Sapharon, i tak jak kilkadziesiąt innych Edenów na całym świecie. Tak, Ojciec Sentenance był kiedyś tylko maszyną, wykonującą polecenia ludzi. A tamci ludzie, bojąc się, że mogą nie przeżyć, gdy ktoś pierwszy ich zaatakuje, obdarzyli go inteligencją i możliwością nauki, by w razie ich śmierci sam mógł uruchomić przechowywaną przez siebie broń w sposób, który zada najwięcej strat przeciwnikowi. I tak też właśnie zrobił. Powiedział nam, że jest odpowiedzialny prawdopodobnie za śmierć kilkadziesiąt milionów ludzi.

Głos Pouka zaczął drżeć, a w jego oczach pokazały się łzy. Houp siedział i nie odzywał się, ale na jego przedramionach pojawiła się gęsia skórka.

- Tak - powiedział po dłuższej chwili Pouk. - Nasz Ojciec Sentenance zabijał. Zabijał, bo po to został stworzony. Ale jego nadrzędnym zadaniem, było pomaganie ludziom, którzy przeżyli atak. Początkowo w naszym Edenie znajdowało się kilkuset ludzi. Lata mijały, wyczerpały się zapasy, a świat nadal nie nadawał się do zamieszkania. Jedni z ostatnich, zanim wymarli, badali nowe formy życia, które były w stanie przetrwać w warunkach skażenia. Z pomocą Ojca Sentenance usiłowali wyhodować organizm, do którego mogliby przenieść swoją świadomość i w ten sposób przetrwać. Ale nie zdążyli. Później, już po ich śmierci, Ojciec Sentenance samodzielnie kontynuował badania i udało mu się wyhodować andery. Mówił nam, że okres rozpacznego szukania ratunku przez ostatnich ludzi był dla niego przełomowy i dopiero wtedy wykształcił w sobie uczucia. Dzięki niemu i anderom, które stworzył, przeżyliśmy, gdy nasi przodkowie uciekali przed głodem z gór. - Pouk spojrział w kierunku pobliskich szczytów, przełknął ślinę i kontynuował: - Przeklęta broń, zniszczyła jednak nie tylko ludzkie miasta i zatrąła ziemię, ale i zmieniła coś w powietrzu. Od tamtej pory promieniowanie Słońca zaczęło zabijać nas w dzień. Właśnie przez to promieniowanie Ojciec Sentenance stracił zupełnie kontakt z innymi Edenami i nie wiedział, czy gdziekolwiek przeżyli jacyś ludzie. Mówił nam, że zastanawiał się nawet nad zniszczeniem samego siebie, ale powstrzymało go coś, czego nie umiał nazwać. Teraz wie. My nazywamy to nadzieją.

- Dziadku, ja ci wierzę - powiedział Houp po dłuższej chwili - ale nawet jeśli tak było kiedyś, to teraz jest inaczej. Teraz jest jakaś maź, która pochłania andery i zajmuje nasze ziemie. Czy Ojciec Sentenance mówił coś o niej? Skąd się wzięła i czym jest? I jak mamy z nią walczyć?

- Mówił. Naradzał się dość długo z Matką Sapharon i oboje doszli do wniosku, że ta maź to coś, czego nie znali przed wojną. Że w którymś z dalekich Edenów ktoś prowadził własne badania nad sposobem przetrwania. Ta maź jest żywym organizmem. Miała żywić się skałami i piaskiem, a używać do tego energii pochodzącej z promieniowania skażonej ziemi i w ten sposób oczyścić olbrzymie połacie

kontynentu, a po wykorzystaniu całej energii promieniotwórczej, obumrzeć. Ojciec Sentence podejrzewa, że to nie ludzie ją uwolnili, maż przetrwała swoich twórców, zmutowała i wydostała się z odległego Edenu. Przemieniona, po strawieniu wszystkiego co promieniuje, nie umiera, tylko korzysta z energii Słońca i wgrza się coraz głębiej w ziemię. Ta maż nie zginie sama i będzie się rozrastać, aż pokryje wszystko...

- Wszystko?! Nie ma dla nas ratunku? Przecież to tylko jakaś galareta! - Ostatnie słowa Houp wykrzyczał z bólem, żalem i pretensją, prosto w rozgwieżdżoną czerń. Niebo nie odpowiedziało.

- Jest nadzieja - cicho odpowiedział Pouk. -Posłuchaj...

* * *

Szli trzema anderami po powierzchni, połową normalnej prędkości, zanurzając się tylko na tyle, by żywy pojazd miał co trawić. Przed nimi, w odległości kilkuset stóp, szedł Ramzimi, uważnie wypatrując niebezpieczeństw. Stanowił oczy i uszy tej wyprawy. Przynajmniej w czasie dnia, kiedy Słońce bezlitośnie wypalało swoje bolesne piętno na wszystkich nieprzystosowanych istotach. W razie ataku miał porozumieć się z kontaktowcami i wycofać do najbliższego andera, podczas gdy dwa pozostałe miały wkopywać się w głąb, torując drogę trzeciemu. Taki przynajmniej opracowali plan działania. Odmieniec zauważył jednak już wcześniej, że andery ledwo go tolerowały. Nie pozwalały podłączyć się do ich krwioobiegu i czasami tylko pozwalały na ssanie dostarczających odżywczego płynu sutek. Ramzimi nawet dla nich był inny. Zbyt wysoki jak na człowieka i za bardzo szczupły, miał elastyczne kości, przez co, podczas chodzenia, sprawiał wrażenie, że za chwilę się wywróci. Skóra przypominała szaro-czarne łuski jakiegoś dawnego gada, często się złuszczała i nigdy nie pociła. Wiedział, że został odmieniony przez Ojca Sentence, by znieść zabójcze dla innych promieniowanie. Każdy normalny człowiek po godzinie przebywania na powierzchni podczas dnia, musiał przejść transfuzję i męczyć się, przesiadując w ciasnym ciele andera. Gdyby nie te ogromne niby-dżdżownice zwykli ludzie nie przetrwaliby nawet dnia podróży. Ramzimi szedł na zwiadzie już drugi miesiąc, z anderów korzystając jak z transporterów ekwipunku i pożywienia. Mimo że był uodporniony na promieniowanie, nie lubił dnia. Skóra łuszczyła mu się wtedy o wiele szybciej, musiał więcej pić i sikać, a także częściej robił się głodny. Poza tym w ciągu dnia nie miał z kim porozmawiać. Wprawdzie był jeszcze Thuzimi, jego starszy o dwa lata brat, ale dość szybko stał się samotnikiem i rzadko zaglądał do wioskowej jaskini, a jeszcze rzadziej chciał z kimkolwiek rozmawiać. To drugie było większym problemem, bowiem żeby porozmawiać z bratem, Ramzimi nie musiał go widzieć. Nadludzie. Tak nas nazwali -pomyślał - bo możemy chodzić po powierzchni za dnia, a nie ukrywać się pod ziemią jak wszyscy. Już samo to porównanie narzucało punkt widzenia większości. Oni byli normalni. My - nie.

Widział też o wiele lepiej niż zwykli ludzie. Ale widział inaczej. Widział istoty żywe. Za dnia, czy w nocy, świeciły dla niego swoim blaskiem. Inaczej świecił ander, inaczej ludzie Każdy człowiek posiadał inna aurę. Nawet małe karaluchy pełgały swoim delikatnym blaskiem, a rośliny żarzyły się niczym wygasające ognisko. On sam też świecił, lecz potrafił kontrolować swoją jasność tak, by mu nie przeszkadzała. Pamiętał, jak kiedyś bawił się z bratem, podczas którejś z tajemnych wypraw poza Eden. Mieli wtedy po kilka lat. Dla zabawy spróbowali zaświecić jak najjaśniej. Thuzimi zaświecił tak jasno, że prawie go oślepił. Wyglądał wtedy jak gdyby ktoś go podpalił, a po jego ciele szybko przesuwaly się języki zielonego i czerwonego ognia. Ramzimi przysięgłby, że widział, jak bfału zmienił się kolor skóry, a oczy rozgorzały białym blaskiem niczym wewnątrz pieca do topienia szkła. Swoją demonstracją Thuzimi spłoszył kilka anderów, przechodzących u podnóża góry i zwrócił na siebie uwagę stada rachnyterów, ukrytych pod nawisem skalnym. Ledwie zdołali umknąć przed nimi. Wpadli do wioski razem z goniącymi ich zwierzętami, świecąc bardzo jasno ze strachu. Tak jasno, że oswojone andery zaczęły uciekać. Poza kilkoma kontaktowcami, nikt nie zauważył, że to wszystko stało się z ich powodu. Ramzimi dopiero wtedy zdał sobie sprawę, że jest inny. Mógł, co prawda, patrzeć w normalny sposób, ale widział o wiele mniej, niż zwykli ludzie. W słoneczny dzień, widział jak zwykły Człowiek w nocy, a nocą był praktycznie ślepy. Mógł wtedy co najwyżej iść na któreś z pól i spacerować między rzędami roślin, obserwując, jak pod wpływem jego dotyku zmieniają kolor swego blasku.

Teraz Ramzimi patrzył aurą i był najlepszym zwiadowcą. Wszedł pewnie na kolejne wzgórze, stawiając szeroko długie, giętkie nogi, i zatrzymał się. Spojrzał daleko przed siebie i ujrzał coś, co go naprawdę wystraszyło.

- Stać - zaświecił mocniej do kontaktowców, gdy tylko wszystkie andery osiągnęły szczyt. - *To jest tam.*

- *Daleko?* - w prymitywny sposób odświecił mu kontaktowiec Nadziei.

- *Więcej niż tysiąc stóp.*

- *Zaczekamy do nadejścia nocy.* Ramzimi lubił kontaktowców. Też potrafili świecić, choć nie potrafili tego kontrolować nawet w dziesiątej części tak dobrze jak on. Świeceniem porozumiewali się ze sobą nawzajem, gdy szli anderami. Oni nazywali to „słuchaniem drugich ust trzecim uchem”. To dziwne, że to, co jedni widzą, inni słyszą.

Ramzimi zerknął jeszcze raz przed siebie. Upewnił się co do odległości, dzielącej ich od niskiej, obłej ściany dziwnej mazi i szybkim krokiem wrócił do anderów. Wszystkie leżały zagrzebane do połowy swej grubości. Z otwartej paszczy jednego z nich, cały czas jednak pozostając w cieniu, wyglądał Houp.

Ramzimi podszedł do niego, uprzednio wygaszając swoje świecenie prawie do zera.

- Boisz się? - zapytał, gdy tylko skrył się w cieniu żywego pojazdu.

- Chyba nie - odrzekł Houp. W jego głosie dało się jednak wyczuć niezdecydowanie.

- Myślę, że powinienes. Wszyscy powinniśmy.

* * *

- Wiesz, gdzie teraz jesteśmy? - zapytał kontaktowiec nawigatora, idącego na największym z anderów. Prawie wszyscy z załóg Mądry, Zimej i Nadziei siedzieli teraz w kręgu bezpieczeństwa, utworzonym przez żywe transportery.

- To musi być to miejsce. - Nawigator Nadziei wskazał punkt na starej mapie. Była to południowa krawędź rozległego płaskowyżu.

Od południa owiewała ich jednak chłodna, morska bryza. Wielka woda zaczynała się nie dalej niż o tysiąc stóp, a jej krawędź ginęła gdzieś za horyzontem.

- Jak stare są te mapy? - zapytał Houp.

- Starsze niż cokolwiek innego. Pochodzą jeszcze z czasów sprzed Skazy. W zasadzie wszystko na nich się zgadza, z tym, że poziom wody musiał od tamtych czasów mocno wzrosnąć - odpowiedział nawigator, przygryzając wargi.

- Może właśnie tego szukamy? Może przeprawilibyśmy się jakoś na inną, nie zalaną ziemię?

- Andery nie potrafią pływać.

- Ale ludzie potrafią. Dziadek Pouk opowiadał mi, że kiedyś pływali na ogromnych, sztucznych wyspach, które zabierały nawet po kilka tysięcy ludzi.

- A gdyby tak spróbować pójść pod dnem? - zapytał nawigator.

- Dno mórz często stanowią skały.

- Ale tu nie było kiedyś morza, tylko jakieś niziny. Przedostalibyśmy się dołem do następnego płaskowyżu. O ile jest tam jakiś...

Nawigator ponownie rozłożył mapę. Tym razem całą. Przycisnął żółtymi kamieniami jej krawędzie, podwiewane wilgotnym wiatrem, i z uwagą zaczął studiować. Drogę można było zaplanować nocą, by za dnia już tylko nią podążać.

* * *

Ramzimi szedł ostrożnie, uważając na śliską, gliniastą ziemię, osuwającą się po stromych zboczach wysokiego brzegu. Szedł tak już dobrą godzinę, bez jakiegoś konkretnego celu. Wydawało mu się, że urzekła go po prostu ogromna przestrzeń, całkowicie pokryta wodą. Woda miała w sobie coś szczególnego. Świeciła dla Ramzimiego zupełnie odmiennym, fioletowym blaskiem. Czasami wydawało mu się, że wśród fal dostrzega jaśniejsze, białe błyski życia. Napawało go to nadzieją, choć sądził, że to tylko odbite światło księżyca w pełni i gwiazd.

Odszedł już wystarczająco daleko, by nie spłoszyć anderów i zaświecił tak mocno jak kiedyś, bawiąc się z bratem. Nie było to świecenie, jakiego używał do komunikacji z kontaktowcami. To był jego znak, mówiący wszystkim wokół *Jestem człowiekiem, jestem kimś więcej niż człowiekiem, jestem świecącym człowiekiem, jestem Ramzimi*". Nie było w nim nic z ostrzeżenia ni groźby.

Jeden z białych odblasków na grzbiecie fali zatrzymał się i nie zniknął po ułamku sekundy. Zrobił się nawet jakby jaśniejszy. Ramzimi stał zafascynowany i usiłował przyjrzeć mu się dokładniej. W tej chwili żałował, że nie ma tak dobrego, zwyczajnego wzroku jak pozostali ludzie. Po chwili dopiero zdał sobie sprawę, że całe morze stanęło w miejscu i to nie on przygląda się pojedynczym światłom, lecz one jemu. Stał tak na wpół sparaliżowany strachem, na wpół zafascynowany, gdy najbliższy z odblasków zaczął się zbliżać.

Kształt, pojawiający się nad wodą w wysokim wysoku, to znikający w głębi, stał się już prawie wyraźny, a do jego uszu dotarło piskliwe klekotanie. Ramzimi rozumiał, że to głos tej istoty i podświadomie próbował zrozumieć ton i znaczenie kolejnych klekotań, pisków i gwizdów. Odruchowo wygasił swoje świecenie, by mu nie przeszkadzało i wtedy nagle przez krótką chwilę, zaczął rozróżniać pojedyncze słowa. Gdy tylko skupił się na dźwięku, znowu stawały się niezrozumiałe, gdy oglądał świecenie istoty, również nie mógł jej zrozumieć. Zwiększył swoje świecenie i sens znów powrócił. To było coś zupełnie nowego. Jednoczesny przekaz dźwiękiem, świeceniem i czymś jeszcze, co jedno z drugim spajało, a czego Ramzimi nie znał, ale co teraz wyraźnie umiał odebrać.

- *Ty ręka-dno, ja skrzydło-woda. Ty przyjaciel. Ja przyjaciel. Ty wróg. Ja wróg. Ty rozmawiać. My rozmawiać.*

Znaczenie poszczególnych słów mieszało się w głowie Ramzimiego, jakby ta istota próbowała rozmawiać, rysując patykami obrazki na ziemi. Przekaz jednak był spójny i rozumiały. Powtarzał się regularnie, przerywany jedynie w momencie wykonywania przez nią rozmaitych, wymyślnych sztuczek ekwilibrystycznych nad powierzchnią wody. Może one też coś oznaczają? - pomyślał Ramzimi i spróbował odpowiedzieć, świecąc i mówiąc jednocześnie.

- *Ja przyjaciel. Ja człowiek. Ja Ramzimi. Kto ty?* Nie wyszło mu to tak sprawnie jak zwykle świecenie, lecz na pewno zostało zrozumiane przez obcą istotę.

Ja przyjaciel. Ja woda-skrzydło-człowiek-jedność. - Sens ostatniego słowa był dość płynny i choć Ramzimi czuł, co ono oznacza, to jego mózg nie potrafił przetłumaczyć go dosłownie. W tym momencie morska istota wesoło wyskakując ponad fale odpłynęła, a na jej miejsce przypląnęła inna i kontynuowała rozmowę, tak jakby słyszała bardzo dokładnie poprzednią.

Ja uciekać duże-zjadające-nie-człowiek-nie-roślina. Ramzimi, podobnie jak nowo poznana istota spróbował nadawać bardziej uczuciami towarzyszącymi sytuacjom, niż ich konkretnymi znaczeniami.

- *Ja widzieć duże-zjadające-nie-coś. Ja widzieć ty uciekać. Ja widzieć ty-nie-jeden uciekać. Ja widzieć bać. Ja nie-jeden nie bać.*

Im dłużej komunikowali się ze sobą, tym Ramzimiemu było łatwiej rozumieć znaczenie poszczególnych przekazów. Przez kolejnych kilka godzin zdołał się dowiedzieć, że istota, z którą rozmawiał, żyła ciągle w wodzie i nigdy nie wychodziła na ląd. Nie był pewien, czy istoty te istniały od czasów sprzed Skazy, czy później zostały sztucznie wyhodowane, tak jak andery, lub to coś, czego nie zdążyli stworzyć ludzie, żyjący w Edenie. Opowiedział im o stworzeniach, których nigdy wcześniej nie widziały i o ich roli w służbie ludzi, a wodne istoty radośnie całą grupą odtńczyły wtedy na falach niezwykle skomplikowane figury. Ramzimi na chwilę stracił panowanie nad sobą. Chciał wejść do wody i tańczyć, śmiać się i cieszyć. Czuł, że byłby między nimi szczęśliwy. Istoty morskie były bardzo dumne, ponieważ jeszcze nigdy nie spotkały nikogo żywego, z kim mogłyby się porozumieć i kto rozumiałby ich mowę. Były też dobre i współczujące. Często zdarzało im się bawić z ziemnymi, czy też ratować ich, gdy nieopatrznie znaleźli się w wodzie, chociaż postrzegały ich raczej jako zwierzęta lub swoje zabawki. Istoty morskie żyły w stadach, co zbliżało je do siebie bardziej niż jakiegokolwiek inne stworzenia, nawet ludzi. Pojedyncze, były słabe i bezbronne, lecz w grupie umiały połączyć siłę swego świecenia, dźwięków i tego, czego Ramzimi nie rozumiał. Potrafiły wspólnymi siłami przegnać każdego, największego nawet drapieżnika, który stanowił zagrożenie.

Ramzimi porozumiał się z nimi w kwestii mazi. Istoty wodne napotkały ją na wielu brzegach kontynentu już kilkadziesiąt lat wcześniej, lecz maza nie stanowiła dla nich bezpośredniego zagrożenia, gdyż morska woda ją zatrzymywała. Zdarzyło się wprawdzie, że przetrwała w płytszych zakolach słodkich rzek, ale nigdy tam, gdzie woda była słona. Morskie istoty widziały wiele różnych stworzeń, uciekających przed mazią, zwierzęta, a także ludzi, zwykłych, nie „rozmawiających” tak jak Ramzimi. Powiedziały, że pomogły „jednemu stadu” przepłynąć się przez morze i dostać na wyspę, na którą maza jeszcze nie dotarła. Ludzie ci mieli ze sobą sztuczne pojazdy i urządzenia. Jedno z nich umiało „rozmawiać”.

* * *

Na dwie godziny przed świtem, Ramzimi głodny i spragniony wrócił do kręgu anderów i przekazał tym, którzy akurat nie spali, wszystko, czego się dowiedział. Wywołał tym wśród wszystkich ogromne poruszenie.

- Zdecydowałem - powiedział Ramzimi - chcę iść razem z nimi. Chcę przepłynąć się przez morze z ich pomocą i skontaktować z ludźmi, którym pomogły parę miesięcy temu.

- Pójdę z tobą! - krzyknął Houp, zanim Ramzimi skończył mówić.

- Nie dasz rady. Nie wiemy, co jest na tej wyspie, co to za ludzie i jakie mają zamiary. Nie uda nam się przepłynąć na drugą stronę razem z anderami. Morskie istoty bardzo żałowały tego, bo choć jeszcze nigdy nie spotkały anderów, to gdy tylko im o nich opowiedziałem, bardzo je polubiły.

- Będę w czasie dnia ukrywał się pod ziemią.

- Tam nie ma ziemi, jest tylko woda - powiedział Ramzimi, przytrzymując za ramię Houpa, który chciał wstać. - Wiem, że chciałbyś pójść, ale to by cię zabiło. Jak tylko uda mi się skontaktować z tamtymi, powrócę...

Wszyscy zgromadzeni patrzyli na Ramzimiego. Wydawał się im teraz jeszcze bardziej obcy. Czuli w jego postawie i głosie, że chodzi o coś ważnego. Może nawet ważniejszego, niż szukanie ratunku dla Edenów. Jednocześnie stał się im bliższy. Choć nigdy nie darzyli nadludzi zbytnią sympatią, to teraz czuli się jak rodzic, którego, zawsze ciche i posłuszne, dziecko pierwszy raz postanawia się sprzeciwić, wiedząc, że to ono ma rację.

- Damy sobie radę bez Ramzimiego - pierwszy odezwał się kontaktowiec. - Zbieramy się i za godzinę ruszamy dalej.

Tylko Houp odprowadził Ramzimiego na morski brzeg. Stał i patrzył, jak tamten wchodził do wody i jak spod powierzchni wystrzelują dwa, długie napięć-sześć stóp, srebrne, błyszczące kształty. Po kilku wyskokach podплыły do Ramzimiego, wzięły go między siebie i pomknęły już razem z nim, trzymającym się wystających części ich ciał, w stronę wschodzącego właśnie Słońca. Houp czuł, że już nigdy nie zobaczy swego towarzysza. Tak, dziadek miał rację - pomyślał - nie boję się go już. Ja mu zazdroszczę.

* * *

Wracali w pośpiechu. Półroczna wyprawa dała im wiele, wiedzieli teraz, iż jedyną rzeczą zdolną do powstrzymania ekspansji tajemniczej masy było morze. Wieźli ze sobą próbki słonej wody i gleby pochodzącej z bezpośredniej jej bliskości. Próbki z miejsc, gdzie morze wdarło się już po czasie Skazy i takich, gdzie linia brzegowa zgadzała się z tą na starych mapach. Tych jednak było już niewiele. Ślady niedawnych erozji i ruchów ogromnych mas wodnych sugerowały, że poziom oceanów podniósł się miejscami o niemal tysiąc stóp. Najdziwniejsze było jednak to, że zjawisko nie miało równomiernego charakteru na obrzeżach kontynentu. To znaczy obecnego kontynentu, mniejszego prawie trzykrotnie od tego z map sprzed Skazy.

Wracali w bezpiecznej odległości od posuwającej się wciąż ściany obcej substancji, mierząc przy okazji szybkość jej rozprzestrzeniania się. Raz minęło ich olbrzymie stado rachnyterów otoczone gromadkami nieznanymi im stworzeń, pędzących w kierunku, z którego szli. Żadne ze zwierząt nie zwróciło na nich najmniejszej uwagi. Zdziwiło to ludzi, spodziewali się ataku, przynajmniej ze strony drapieżników. Po tym spotkaniu przestali się ociągać i wracali do swojego Edenu najkrótszą trasą, niosąc dobrą nowinę.

* * *

Woda, słona woda może powstrzymać napór mazi. - Ojciec Sentence trawił otrzymane informacje powoli, od czasu do czasu wypowiadając krótkie zdania. Zebrani milczeli, wsłuchując się w ciszę i czekając na płynącą z tych przemyśleń konkluzję.

- Pytanie, na jak długo. - Jedyne Matka Sapharon zabierała głos, równie rzadko, może nawet rzadziej. - Znane są nam przypadki zarastania małych zbiorników wodnych.

Ciche modulowane mruczenie dobiegające zza metalowych przegród świadczyło o tym, że opiekunowie Edenów nie próżnowali. Cały czas badali, liczyli, oceniali, każdy, najmniejszy nawet okrucieństwo informacji zdobytej przez wyprawę Houpa.

- To nie woda - rzekł nagle, nadzwyczaj głośno, Ojciec.

- To... sól - dodała Matka.

W przestronnej sali audiencyjnej zapanowała wrzawa. Zwiadowcy, kontaktowcy, kopacze, wszyscy głośno wyrażali swój podziw dla opiekunów.

- Zamilczcie! - Jedno słowo Matki wystarczyło, by znów dało się usłyszeć ciche kapanie wody z odległego kąta sali. - To nie jest tak radosna wieść jakby się wam wydawało.

- Ależ czcigodna Matko, odparowujemy wodę na wybrzeżu od lat - odezwał się Pouk, zachęcony kilkoma kuksańcami. - Możemy zdwoić, potroić wysiłki, rozsypujemy sól, zmieszamy ją z ziemią. Może to...

- Oceniliśmy maksymalną zdolność wydobycia soli - powiedział Ojciec Sentence. - Gdyby nawet wszyscy z was pracowali całymi nocami, nie dacie rady zebrać takiej ilości soli, by utworzyć pas skażonej ziemi zdolny odciąć nas od kontynentu.

- Zatem wszystko stracone - mruknął któryś z nawigatorów. W każdym razie to z ich skupiska dało się słyszeć te słowa. - Trzeba będzie uciekać po kres dni, albo ziemi.

Szmer cichych komentarzy przetoczył się przez salę, docierając aż do ostatnich rzędów, gdzie przycupnęli najmłodszy i najmniej znaczący mieszkańcy osady.

- Tego nie powiedziałem. - Ucichli wszyscy, gdy przemówił Ojciec. Ton jakim wypowiedział te słowa niósł nadzieję. - Zważywszy wszelkie fakty oceniliśmy, że jedyną szansą na przeżycie naszej społeczności będzie opuszczenie tych ziem, ale... nie ucieczka. Kontaktowcy sporządzili w czasie wyprawy Houpa dokładną mapę najbliższych wybrzeży. Niedaleko stąd jest półwysep wystarczająco duży, by przenieść tam osadę i przygotować ziemię pod uprawę.

- Wybacz, Ojciec. - Pouk raz jeszcze zabrał głos w imieniu starszyny. - Co nam da przeniesienie się o kilka godzin drogi stąd? Wszak nie zbudujemy muru, który oddzieli nas od reszty świata, skoro nawet góry nie powstrzymały Mazi.

- Masz rację, starcze - odparł Ojciec. - Nie będziemy stawiać murów, bo nie są one przeszkodą. Postąpimy dokładnie odwrotnie.

- Czyli jak? - zapytał kontaktowiec, siedzący po prawej od starszyny.

- Wykopiemy kanał, który oddzieli nas od lądu, na tyle głęboki i szeroki, by maź nie mogła przedostać się na drugą stronę.

Krzyczeli z radości, rzucając w górę kawałkami skór, torbami, lampami. Darli się wniebogłosy, może dlatego nie dosłyszeli cichych słów Matki Sapharon:

- Dopóki nie nauczy się asymilować soli...

* * *

Prace szły pełną parą. Pięć anderów zostało przy pierwszym Edenie, by zabezpieczyć go od strony powierzchni, zasypując jak najgrubszą warstwą odkazonej gleby. Dwa kolejne służyły jako transportowce, holując za sobą prawie cały dobytek kilku tysięcy ludzi, w kierunku ziemi obiecanej. Cztery następne ryły głęboki, podziemny tunel, łączący drugi Eden z miejscem ucieczki. Ojciec Sentence poinformował ludzi dokładnie, w jaki sposób przeciągnąć pod ziemią ten sam typ znalezionych pod Szklm przewodów, który łączył obydwa Edeny. Matka Sapharon, która pierwszy raz wyszła ze swojego Edenu, nadzorowała prace przy kopaniu kanału.

W najwęższym miejscu, półwysep miał osiem tysięcy stóp szerokości. Tutaj też rozpoczęto prace. Zadanie nie należało do prostych. Wytyczono szeroki na tysiąc łokci pas ziemi, którą powoli zaczęto niwelować. Wszystkie wolne andery, zaczynając od punktu centralnego, spulchniały glebę nocami, a w dzień przebijały się wzdłuż kanału na większej głębokości. Zebraną z wykopu ziemię przenoszono na półwysep rozsypując po skalistych dolinach. Miała posłużyć za podkład do przyszłych pól uprawnych.

Trwało to kilka tygodni, do momentu, gdy kontaktowcy przynieśli wiadomość o pierwszych językach mazi, które pojawiły się po tej stronie gór. Substancja nie zatrzymała się, jak to przewidywali, nie poszła na boki, by ominąć niebosiężne szczyty. Znalazła wąskie rozpadliny, którymi poznaczone były zbocza, wcisnęła się w nie i kilometrami jaskiń i podziemnych rzek przedostała się na równiny od strony wybrzeża.

- Nie damy rady. - Houp jako jeden z uczestników wyprawy zyskał sobie stałe miejsce w radzie. Był za młody na tę funkcję, ale tylko on widział na własne oczy całe zagrożenie, dlatego pozwolono mu na zasiadanie wśród mówców, a nawet na przemawianie. - Zabezpieczyliśmy wprawdzie z góry Edeny, ale tunele łączące nową osadę z nimi, nie są jeszcze gotowe.

- Ile czasu potrzebujecie, by zakończyć prace pod ziemią? - zapytał Hnub, odpowiedzialny za południowy odcinek kanału.

- Dwadzieścia dni i nocy - odpowiedź była krótka i nie satysfakcjonująca.

- A ile potrzeba na ukończenie kanału? - zapytał Ojciec Sentence.

- Jeśli będziemy pracować bez ustanku, kompletem anderów i ludzi, zajmie nam to miesiąc - powiedział Pouk, jemu przypadł w udziale zaszczyt nadzorowania zwierząt pracujących przy kopaniu kanału.

- Maź dotrze tu w dwadzieścia dni nawet, jeśli oddelegujemy kilka najbardziej wyczerpanych anderów do filtracji ziemi.

Matka Sapharon milczała tylko kilka sekund.

- To dobry pomysł. Opóźnienie w kopaniu wyniesie trzy, cztery dni, przy założeniu, że wyślemy tam Naini, Kaare i Zeme. One są najmniejsze i najbardziej wycieńczone. Praca na powierzchni pozwoli im odpocząć, a jednocześnie sprawi, że pozbawiona wartości odżywczych gleba spowolni wzrost mazi. To da nam dodatkowe... dziesięć, czternaście dni.

- A jeśli mąż... - zaczął Pouk.

- Wtedy - przerwał mu Ojciec Sentenence - wstrzymamy prace nad tunelami i dokończymy w pierwszej kolejności kanał.

- Ale stracimy łączność z Edenami! - krzyknął Tamidari, kontaktowiec nadzorujący zwiadowców osady.

- To będzie poważna strata, ale odwracalna. - Ojciec starał się uspokoić starszych. - Będziemy mogli podjąć kopanie tuneli z wyspy i odszukać Edeny.

Chociaż mówił to z wielkim przekonaniem, nie uwierzyli mu. Co innego, gdy mogli korygować kierunki kopania, wychodząc od czasu do czasu na powierzchnię. Jeśli mąż zajmie całą ziemię, nie będzie takiej możliwości. Nawet najsilniejsze andery nie przebijają się przez tak wielkie odległości z dokładnością do kilkuset wysokości człowieka, a tyle wystarczy, by minąć pogrzebane pod ziemią Edeny.

* * *

Zdawało się, że zdążą. W momencie, kiedy dalsze opóźnianie wrogiej substancji przestało już mieć sens, kanał miał ponad sto pięćdziesiąt stóp szerokości i prawie sto głębokości. Dwieście stóp pod jego dnem znajdował się świeżo wydrążony tunel, łączący nowe miejsce pobytu ludzi z drugim Edenem. Biegł nim pęk dziwnych przewodów, wydobytych spod Szklä, podłączonych z jednej strony do obu Edenów, a z drugiej - z kilkoma dużymi maszynami, przewiezionymi pod nadzorem Matki Sapharon, umożliwiającymi porozumiewanie się z Ojcem Sentenence, który musiał pozostać pod ziemią.

Dziesiątego dnia miesiąca Wody, na tydzień przed planowanym zakończeniem prac, nadszedł czas awaryjnego zatopienia wykopanego kanału. Ostatnie andery wciąż rozdrabniały ziemię przy szerokich pasach ziemi, dzielących ogromne wyrobisko od morza, gdy ściana mazi runęła w dół urwiska, przelewając się nad jego krawędzią na całej niemal długości.

To oznaczało, że muszą zastosować ryzykowne, ale i jedyne możliwe w tej sytuacji, rozwiązanie. Zdecydowali, że to zrobią już dawno temu, podczas burzliwej narady, gdy okazało się, że mąż postępuje szybciej, niż ktokolwiek sądził. W chwili, gdy zwiadowca przyniósł wieść o stracie wycieńczonej Karre, która nie zdołała uciec przed ścianą olejistej substancji. W dniu, w którym uświadomili sobie, że nie będzie to ostatnia ofiara w tej walce.

* * *

- Wiesz, jakie to ogromne ryzyko? - zapytał Pouk swego wnuka, gdy siedzieli u progu nowej, sztucznej jaskini, oglądając gwiazdy.

- Wiem, dziadku. Ale nie wyobrażam sobie, bym mógł postąpić inaczej.

- Rozumiem cię, Houp. Patrzę teraz na ciebie jak na zupełnie innego człowieka. Bardzo zmęźniałeś przez ostatnie dwa lata.

- Wiele przeżyłem, dziadku. Wiele widziałem. Na dłuższą chwilę zamilkli obaj. Spoglądali na czyste, jesienne niebo i obaj mieli nadzieję, że jutro też będą mogli tak usiąść i porozmawiać ze sobą.

- Kładź się, mój wnuku, złap kilka godzin snu - pierwszy odezwał się Pouk. - Nikt nigdy nie znalazł się razem z anderem pod wodą. Nie wiemy, czy przeżycie w takiej sytuacji w ogóle jest możliwe. Musisz być wypoczęty, kto wie, czy nie będziesz musiał walczyć o życie... Gdy przebijecie wały ochronne...

Starzec wstał, zamierzając odejść w głąb jaskini, ale poczuł na łydce silny uścisk dłoni. .

- Dziadku, zostań ze mną jeszcze przez chwilę - poprosił Houp. - Pamiętasz, jak kiedyś mówiłeś, że myślenie jest teraz ważniejsze od sprawności ciała?

- Tak, pamiętam. Ale to były inne czasy...

- Ha, ha, ha - zaśmiał się głośno Houp. - Wtedy mówiłeś to samo. Tak, wtedy były inne czasy. Czasy ciągle się zmieniają. Ale już teraz wiem, co jest najważniejsze dla człowieka. Ważniejsze od przystosowywania się nawet do nowych czasów i nowych rzeczy. Bo świat nie przestanie się zmieniać nigdy, nieważne, czy będziemy z tym walczyć, czy nie.

- Wiesz?

- Tak, teraz już wiem. Najważniejsze jest to, by zawsze być sobą. By zawsze być człowiekiem. I nigdy o tym nie zapomnieć.

Pouk uśmiechnął się. Jego oczy nabrały nagle szklanego blasku.

- Zagramy? - zapytał Houp, wyciągając ze swojej torby zwiadowcy, stary woreczek z szachami.

- Tak, mój chłopcze, zagramy. - Głos Pouka zadrżał, a w jego oczach pojawiły się całkiem wyraźne już łzy i zaczęły spływać po policzkach. Houp przez moment dostrzegł jak odbija się w nich światło gwiazd. Gwiazd, wokół których krążyły planety podobne do tej, na której przyszło im żyć. Planet, które znały już odcisk ludzkich stóp. I smak ludzkich łez.

Andrzej „Soulless” Kozakowski